



10, 25, 56

Stulecie Bitwy Warszawskiej

16

Zbigniew Ziobro
– naczelny
haker RP



51

Dinozaury
– kolorowe
i nie za mądre



Tematy tygodnia

- 10 Tomasz Nałęcz
Cud nad Wisłą: fakty i mity
13 Agata Szczerbiak **Tęczowy bunt**

Polityka

- 16 Anna Dąbrowska, Paweł Reszka
Na kogo Ziobro zbiera haki
19 Ewa Siedlecka
Wielka inwigilacja

Spółczeństwo

- 22 Rozmowa z **Katarzyną Pawlikowską**
o tym, dlaczego kobiety głosują na PiS
25 Juliusz Ćwieluch
Jak ministra Błaszczaka
zaskoczyła Bitwa Warszawska
28 Katarzyna Zdanowicz
Dzieci wrócą do szkoły
– ale jakiej?
31 Marcin Wicha o tym,
jak władza dzieli, by rządzić
34 Martyna Bunda
Strasburg bierze się
za polskie sprawy

Rynek

- 36 Adam Grzeszak
Izera: iluzja polskiego auta
na prąd
38 Joanna Solska
Praca zdalna nieregulowana

Świat

- 41 Paulina Wilk INDIE
Pandemia, kasa i kasty
44 Ala Quandil LIBAN
Państwo w ruinie
46 Łukasz Wójcik UE
Czy można zostać
wyrzuconym z Unii
48 Marcin Piątek JAPONIA
Odłożone igrzyska

Nauka i cywilizacja

- 51 Rozmowa z prof. **Michaeliem**
Bentonem o tym, czego nowego
dowiadujemy się o dinozaurach
54 Edwin Bendyk
Człowiek – istota dobra z natury?

Historia

- 56 Piotr Korczyński
Wojna polsko-bolszewicka:
Rosjanie u boku
Wojska Polskiego
59 Adam Krzemiński
1940: jak Anglicy
zbombardowali Francuzów

Kultura

- 66 Piotr Sarzyński
Piękno Rafaela
70 Rozmowa z rysowniczką **Martą Frej**
o historycznym feministycznym
komiksie

- 73 Aneta Kyzioł
Czy zabraknie seriali?
76 Bartek Chaciński
Egzotyka w wersji Alibabek

Półprzewodnik POLITYKI

- 82 Janusz Wróblewski
Filmowe Kujawsko-Pomorskie



Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Redaktor Zastępczy
- 5 Ludzie i wydarzenia
- 62 Afisz • 78 Passent
- 79 Tym • 80 Fusy, plusy i minusy
- 81 Do i od redakcji
- 90 Polityka i obyczaje



Z ŻYCIA SFER

Konstrukcje i rekonstrukcje

Luk triumfalny nad Wisłą, muzeum w Ossowie, pomnik przy placu Na Rozdrożu – tego wszystkiego z okazji 100-lecia Bitwy Warszawskiej nie udało się zrealizować. Zamiast kosztownych i skomplikowanych konstrukcji rząd sięgnął więc po modną i popularną ideę rekonstrukcji historycznych. Były już pokazy łapanek, gwałtów i rozstrzeliwania z okresu okupacji, przyszedł czas na zabijanie bolszewików na Stadionie Narodowym. Weryzm sytuacji zostanie podkreślony przez udział koni, strzały oraz bitewne jęki, chociaż widzowie zapewne nie zobaczą, w jak nędznych łachmanach walczyli w 1920 r. żołnierze, a odgrywający Józefa Piłsudskiego aktor zachowa przednie zęby, których pozbawili Marszałka carscy żołnierze.

Kolejny raz zaskoczmy naszych gości. Tu, na płycie boiska, powstanie olbrzymia scena. Po jednej i drugiej stronie powstaną okopy – polskie i bolszewickie – obwieściła z dumą Marzena Małek, członek zarządu PL.2012+, spółki zarządzającej stadionem PGE Narodowym. – Realizując to wydarzenie, chcieliśmy przekazać, iż historia nie jest czymś dalekim i odległym. Chcieliśmy połączyć w tym widowisku przeszłość z teraźniejszością. (...) Myślę, że będzie to widowisko na miarę XXI w., na miarę stulecia Bitwy Warszawskiej”. Niewątpliwie formą łączenia „przeszłości z teraźniejszością” byłoby wykorzystanie efektów specjalnych, których ma w tym multimedialnym widowisku nie zabraknąć. Nie stanowi dziś wielkiego problemu wyświetlenie hologramu Matki Boskiej, która (jak jeszcze

dwa lata temu wierzyła ponad połowa ankietowanych Polaków) przez ukazanie się na nieboskłonie ingerowała w przebieg bitwy na naszą rzecz. Dzisiaj nawet grający bolszewików statysci z przyjemnością i zachwytem dadzą się przestraszyć boską interwencją.

Choć dużo bardziej realnym łącznikiem z przeszłością jest pandemia. Wtedy wszyscy wiedzieli o śmiertelnym żniwie hiszpanki, dziś covid nie jest tak przerażający, ale – zapewniała pani Małek – „bardzo skupiliśmy się na tym, aby zachować dystans społeczny. Widownia nie będzie tak liczna”. Niemniej, biorąc pod uwagę ostatnie dane o zakażeniach, gromadzenie w niecie stadium po 10 tys. widzów (miejsca dla VIP-ów na 15 sierpnia już wykupione, ale zaplanowano jeszcze cztery pokazy) wydaje się równie mądre jak przedwyborcze słowa premiera o epidemii, która już ustępuje. Swoją drogą ciekawe, czy rekonstruktorzy zadbają o maseczki i dystans społeczny w okopach i w czasie starcia, czy też w imię historycznej prawdy gotowi będą zaryzykować zarażenie się koronawirusem.

Za wszystko (choć nie za zachorowania) zapłacą spółki Skarbu Państwa, nadzorowane przez wicepremiera Jacka Sasina. Jeśli coś pójdzie nie tak, sam stanie się bohaterem rekonstrukcji, przed czym nie ocala go najgłębsze okopy Stadionu Narodowego ani sama Matka Boska.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JK

Sprawa Margot



Jerzy Baczyński

Dzień po dniu relacjonowaliśmy w serwisie polityka.pl wydarzenia wywołane (sprowokowane?) aresztowaniem na dwa miesiące Margot, aktywistki LGBT z kolektywu Stop Bzdurom. Coś, co na początku wydawało się incydentem, przerodziło się w zająścia o skutkach dziś trudnych do przewidzenia. Przypomnijmy, że Margot została oskarżona o uszkodzenie mienia: chodziło o atak na tzw. homofobusa, furgonetkę oblepioną szkalującymi plakatami, m.in. wiążącymi odmienne orientacje seksualne z pedofilią. Nasza komentatorka prawna Ewa Siedlecka zwracała uwagę na zaskakującą surowość, nieproporcjonalność sankcji długiego aresztu dla Margot, abso-lutnie nieuzasadnioną względami śledztwa – są przecież nagrania rejestrujące zająście, oskarżona przyznaje się do uszkodzenia furgonetki, straty (ok. 6 tys. zł) są wyliczone. Ale to prokuratura kierowana przez Zbigniewa Ziobro domagała się aresztu; sam minister opisywał czyn przebicia opon i pocięcia plandeki homofobusa jako groźny „atak z użyciem noża”. Sąd wniosek prokuratury przyklepał, policja dostała polecenie „realizacji”. Resztę, kto chciał, mógł obejrzeć w relacjach telewizyjnych i w mediach społecznościowych. Akcja policyjna wyraźnie wymknęła się spod kontroli albo też w jej trakcie zmieniano polecenia i rozkazy. Widzieliśmy brutalne zachowanie funkcjonariuszy wobec grupy młodych ludzi domagających się uwolnienia Margot (reportaż na s. 13), uliczne polowania na uczestników protestu, upychanie pojmanych w radiowozach (zatrzymano aż 48 osób); później napływały relacje o szykanach na komisariatach, poniżających przeszukaniach, utrudnianiu dostępu do zatrzymanych adwokatów i rodzinom.

Trudno sobie wyobrazić, aby policjanci samodzielnie decydowali o charakterze i przebiegu całej operacji. Ewidentnie mieli dyspozycję „z góry”, a wyraźne tropy prowadzą w stronę prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry, bardzo zresztą w tamtym czasie aktywnego medialnie. Jasny jest też polityczny kontekst: Ziobro („Naczelny haker” s. 16) rozpycha się w powyborczych rozgrywkach w obozie władzy, ustawiając się w roli lidera partyjnych radykałów. A do tego, jak zawsze, najlepiej nadaje się podgrzewanie atmosfery wojny kulturowej. Stąd akcja w sprawie „wypowiedzenia konwencji stambulskiej”, nonszalanckie ataki na Unię Europejską i kolejnych „naruszających polską suwerenność” komisarzy, nieoczekiwany projekt kontroli statusu i przychodów organizacji pozarządowych, wreszcie zapowiedź surowych kar za „chuligańskie wybryki” osób LGBT. Odtworzona została polityczna oś Ziobro–Kurski. (Przekaz sobotni TVP: wyszkoleni w Warszawie przez Trzaskowskiego w technikach agresji tzw. aktywiści LGBT napadli na policjantów, aby teraz jako ofiary ściągać pieniądze od darczyńców. Uff...).

Osoby LGBT, w propagandzie PiS występujące w postaci „ideologii”, są od czasu wyborów europejskich bodaj najchętniej używanym przez PiS instrumentem politycznych kampanii (także tej Andrzeja Dudy). W roli groźnych roznoszących zarazy „obcych” zastąpili nieobecných uchodźców, z tym że teraz zaraz nie są pa-szożyty, ale seksualizacja dzieci, demoralizacja rodzin, niszczenie wartości, promowanie pedofilii. To przeciw tej narracji powstała happeningowa grupa pod oczywistą nazwą Stop Bzdurom.

Aktywistom tej grupy – i innych walczących z homofobią organizacji – wielu przyjaciół i sympatyków stawia jednak zarzut nadmiernego radykalizmu, przywołując przykład udekorowania tęczowymi flagami pomnika Chrystusa Króla czy ataku na kierowcę szczekającej furgonetki. Argument jest taki, że PiS każdy podobny incydent (odsylam do wywiadu z Katarzyną Pawlikowską, s. 22) bezwzględnie wykorzystuje do dyskredytowania osób LGBT, nakręcania homofobicznych narracji typu: „jeszcze chwila, a gołe pedały pomalowane na różowo będą chodzić po ulicach i namawiać do masturbacji”. Coś w tych przestroogach przed radykalizmem jest: sami namawiamy działaczy LGBT, żeby raczej szukać i szanować sojuszników, a nie atakować ich, jak choćby podczas ostatnich weekendowych wieców protestacyjnych, podczas których – bardziej niż PiS-owi – dostało się Trzaskowskiemu („Gdzie jest Rafał?”), liberałom i partiom opozycyjnym (za oportunistą), a niezależnym mediom za używanie „transfobicznego” języka.

Sami działacze na uwagę, że „radykalizm szkodzi sprawie”, odpowiadają, że „estetyczne” protesty już nie skutkują, a zresztą niech każdy działa, jak chce i jak uważa. To prawda, podobnie jak druga prawda, że wielu – oczywistych w cywilizowanych krajach – postulatów osób LGBT nie da się przeprowadzić poza systemem politycznym i parlamentarnym, choćby pośrednio, poprzez kształtowanie poglądów i programów partii czy ruchów dążących do przejęcia władzy. Kampania przeciw homofobii (nie chodzi tylko o tak nazywaną się organizację) odniosła już w Polsce naprawdę duży sukces i zanim PiS uruchomił intensywną propagandę „antyhomo” wskaźniki aprobaty dla postulatów osób LGBT zbliżyły się już do standardu unijnego. Teraz następuje mentalny regres, ale tym bardziej potrzebne jest mozolne i cierpliwe przekonywanie jak najszerzej publiczności, że „liberałom i lewakom” nie chodzi o żadne przywileje dla osób LGBT, lecz o respektowanie podstawowych w kulturze Zachodu praw człowieka, w tym prawa do własnej tożsamości i wyboru sposobu życia.

Władza, tu nie mamy wątpliwości, będzie nadal grała kartą LGBT, prowokowała wybuchy gniewu, aby przedstawiać protestujących jako groźnych „ideologów”, wichrzycieli. Niestety, to wciąż okazuje się skuteczne politycznie i warto być świadomym technik tej brudnej gry. Co jednak nie znaczy, że należy szantażowi pisowskiemu ulegać i przejmować się bardzo tym, co wygadują Ziobro, Kaczyński czy TVP. Następane wybory za trzy lata, nie toczy się już żadna kampania, sondaż poparcia nie mają dziś politycznego znaczenia, nie ma powodu do ideowej „pragmatycznej” mimikry, działacze opozycji mogą i powinni wprost mówić o swoich przekonaniach, budować własną opowieść o Polsce, otwartej, tolerancyjnej, europejskiej, solidarnej, do której się przyznają. Naprawdę: po raz pierwszy od lat jest czas na politykę wartości. Młodzi ludzie, protestujący przeciwko brutalności władzy, także narzucaniu jednego obowiązującego modelu życia, mocno o tym przypomnieli. „Sprawa Margot” powinna pomóc politykom opozycji strząsnąć paraliżujący strach przed tym, co powie PiS, TVP czy wyborcy Dudy. Czas najwyższy.

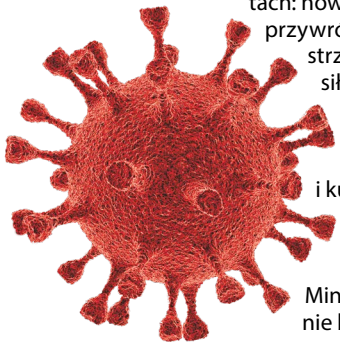
Jan Koza



© JAN KOZA

843

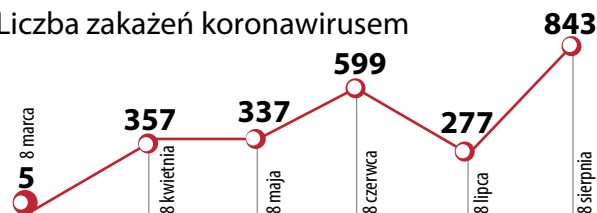
To największa dobowa liczba zakażeń koronawirusem w Polsce – nie tylko w ubiegłym tygodniu, ale i od początku pandemii. Mimo doskonałych humorów rządzących, którzy w kampanii – ale i zaraz po niej – przekonywali, że wirus „jest w odwrocie, już teraz nie trzeba się go bać”, a także że „latem wirusy grypy, i ten koronawirus też, są słabsze, dużo słabsze” (Morawiecki), jest dokładnie odwrotnie. Z dnia na dzień przybywa chorych, a jedynym pomysłem rządu są punktowe restrykcje. I tak w 19 (jak na razie) powiatach z największym przyrostem zakażeń zwiększono obostrzenia. W „czerwonych” strefach (czyli m.in. w powiatach: nowosądeckim, rybnickim i ostrzeszowskim) przywrócono nakaz noszenia maseczek w przestrzeni publicznej, a także zamknięto kina, siłownie czy sanatoria. Z kolei w „żółtych” (m.in. powiaty: przemyski, oświęcimski i cieszyński) ograniczono np. dozwoloną liczbę uczestników imprez sportowych i kulturalnych (25 proc.). W obu strefach wprowadzono też limity gości weselnych (50 weselników w strefie „czerwonej”, 100 w „żółtej”) – tyle że przedstawiciele Ministerstwa Zdrowia nawet nie kryją, że nikt nie będzie tego kontrolował.



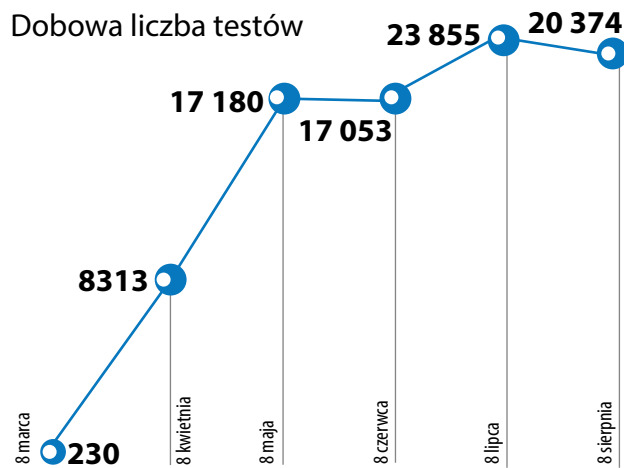
Wspomniany rekord padł w ostatnią sobotę, ale i w piątek było niewiele lepiej (809). Według wiceministra Cieszyńskiego rosnąca liczba zakażeń to pochodna liczby wykonywanych testów. Jednak – jak wynika z danych MZ – w pierwszym tygodniu sierpnia przeprowadzano ich średnio 26,3 tys. dziennie, czyli o 23 proc. więcej niż w pierwszym tygodniu lipca, kiedy koronawirusa potwierdzano średnio u 288 osób dziennie (średnia sierpniowa jest o 130 proc. większa – 662).

Łukasz Szumowski nie twierdzi już, że „epidemia wygasa” – jak przekonywał tuż przed drugą turą wyborów prezydenckich. Przeciwnie: zapowiada dalsze wzrosty zakażeń. Ale zarazem wyklucza ponowny ogólnokrajowy lockdown.

Liczba zakażeń koronawirusem



Dobowa liczba testów



Na podstawie danych Ministerstwa Zdrowia.

Wygląda więc na to, że po początkowej fazie rygorystycznej walki z zarazą i zamykaniem wszystkiego, łącznie z lasami, weszliśmy w etap: poczekamy, zobaczymy. A prorządowe media („Sieci”), na wszelki wypadek, już kolportują spiskowe teorie, że pandemia to „manipulacja, za pomocą której potężne siły chcą osiągnąć ukryte cele”. (MLV)

KOMENTARZ

Niechlubne orzeczenie

Ewa Siedlecka

Wybory prezydenckie są ważne – ogłosiła Izba Kontroli Nadzwyczajnej SN. Werdykt nie dziwi, bo wygrał Andrzej Duda. Ale liczy się też styl. A ten był żałosny. Sędziowie Izby Nadzwyczajnej pominęli temat konstytucyjności wyborów i nie ocenili bezprecedensowego faktu, że władza nie wywiązała się z obowiązku przeprowadzenia wyborów w ogłoszonym (konstytucyjnym) terminie. Może uznali, że kwestie konstytucyjne to za wysokie dla nich progi? Albo – co gorsza – że konstytucja to sprawa drugorzędna, bo liczy się wola polityczna, a nie prawo? Czy takie właśnie zachowania sędziów miały na myśli prokurator Piotrowicz, mówiąc, że trzeba nam sędziów o mentalności służebnej?

Sędziowie pozostawili też bez rozpoznania 88 proc. protestów wyborczych – w większości dotyczących faworyzowania przez tzw. media publiczne Andrzeja Dudy, a także kwestionujących tryb uchwalenia nowego prawa wyborczego i wskazujących na nierówność sytuacji kandydatów. Wszelkie argumenty konstytucyjne Izba skwitowała stwierdzeniem, że protesty te nie mieszczą się w ramach prawa, a skoro wybory nie odbyły się wtedy, gdy były prawidłowo zarządzone (10 maja), to potem wszystko, co zrobiła władza, żeby je jak najszybciej zorganizować, było dobre z punktu widzenia

demokracji. Sędziowie nie zauważyli przy tym, że ten sam efekt można było osiągnąć, nie łamiąc prawa: wybory mogły się odbyć w konstytucyjnym terminie po zakończeniu kadencji Andrzeja Dudy.

Wybór prezydenta został dokonany z naruszeniem konstytucji. Ale na ten tryb zgodzili się wszyscy kandydaci i stojące za nimi siły polityczne. Nie był to akt wyborczy opisany w konstytucji, lecz – jak mówi prof. Ewa Łętowska – plebiscyt. Na takie reguły przystali też wyborcy, którzy tłumnie poszli do głosowania. Nie ma więc co teraz wybrzydzać na uznanie wyboru Dudy za ważny.

Albo po izbie Sądu Najwyższego mieliśmy prawo oczekiwać zmierzenia się z problemem niekonstytucyjności tego wyboru. Przyznania, że konstytucja została złamana, i znalezienia argumentów prawnych za tym, że należy mimo to usankcjonować ten wybór. Sąd Najwyższy ma obowiązek ustosunkować się prawnie do nieprawości. Tymczasem ograniczył się do roli „służebnej”.

Inna sprawa, że wcześniej te wybory podżyrowała PKW, w stylu nie mniej służebnym: nie skomentowała faktu czterokrotnej zmiany prawa wyborczego tuż przed wyborami, za to pochwaliła rząd za sprawność przeprowadzenia wyborów, w szczególności za granicę – co w świetle tego, co o nich wiemy, zakrawa na kpinę.

Orzeczenie SN i sprawozdanie PKW o ważności wyborów w tak precedensowej sytuacji, jaką pandemia i władza stworzyły, są dokumentami, które przejdą do historii. Nie będzie to historia chlubna.

Napaść na tolerancję

Jarosław Kuźniar

Reporter, podróżnik, twórca cyfrowy



Zwykły symbol tęczy nigdy nie znaczył tak wiele w czasach, kiedy tak niewielu wie cokolwiek o tolerancji. Publiczne roztrzaskanie płci aktywistki Margot tylko pokazuje, jak płytko zanurzamy się w problemie, który jej dotyczy. Najbliższe dwa miesiące ma spędzić w męskim areszcie, choć czuje się kobietą. Samo to brzmi jak wyrok śmierci dla wrażliwca. Dla policji ważniejsze niż serce są jednak dokumenty. Zresztą, widząc, jak swobodnie mundurowi używają sobie teraz na demonstrantach i demonstrantkach, trudno oczekiwać, że czują coś więcej niż zew krwi. Ulice Mińska i Moskwy są jak nigdy podobne do tych warszawskich. Ale tam służby trzymają się korzeni i zamordystycznej tradycji, u nas – grają demokratów.

Margot musi ponieść karę za chwilę swojej słabości. Mnie i wielu innych też te dudniące głośniki busów ze zdjęciami płodów straszliwie wkurzały, ale ich nie dewastowaliśmy. Dziś to jednak drugorzędny problem. Sprawa Margot i całego środowiska LGBT staje się symbolem walki tolerancji z przemocą państwa, atakującego tych, którzy mówią zaściankowi stanowcze nie. Tu nie chodzi wyłącznie o prawa gejów, lesbijek czy osób transpłciowych, ale o prawa człowieka. Prawo do adwokata, prawo do intymności. Nagi przysiad – rób, nie dyskutuj!

Raport Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur przy RPO mówi jasno: wśród zatrzymanych byli ludzie, którzy, owszem, mieli przy sobie tęczowe torby, ale akurat wracali z zakupami ze sklepu. Nie znali powodu zgarnięcia ich z ulicy. Inni wspominali o biciu w policyjnych samochodach – dowody było widać na ich ciele. Do tego: nocne przesłuchania, pryzce bez koca, zero jedzenia i wody. Nie trzeba, ale przypomnę: mówimy o Polsce, państwie należącym do UE, gdzieś

w środku Europy, w szalonym 2020 r. Świeżo po wyborach. Co jest, do cholery, za zakretem?

W polskich filmach o mafii powtarza się taka ładna scena poskładana z przydrożnych tabliczek: „Gdzie kończą się Reguły, zaczyna się Pruszków”. Najnowsza wersja jest nie tylko smutnym hasłem reklamowym polskiej policji, ale też całej pisowskiej administracji. Gdzie kończy się tolerancja, zaczynają się krótka smycz i kaganiec. Jak kuriozalnie brzmią teraz słowa córki prezydenta Dudy, która na jego powyborczym wiecu zaklinała rzeczywistość:

„Chciałabym zaapelować, by nikt w naszym kraju nie bał się wyjść z domu. Niezależnie od tego, w co wierzymy, jaki mamy kolor skóry, poglądy, jakiego kandydata popieramy i kogo kochamy. Wszyscy jesteśmy równi i wszyscy zasługujemy na szacunek. Nikt nie zasługuje, aby być obiektem nienawiści”.

Ma rację Kinga Duda, ale to, co się dzieje, temu wszystkiemu przeczy. Także – a może nawet szczególnie – z winy jej ojca. Pamiętacie, jak cały świat cytował polskiego prezydenta: „Próbuje się nam wmówić, że LGBT to ludzie, a to po prostu ideologia”? Dziś wiemy, co miał na myśli. Jesteśmy mądrzy po szkodzie, ale zakładam, że jako Polacy znamy się już na tyle, że nawet nas to nie zaskakuje. Możemy mieć kaca, ale zawsze za późno. „Mam nadzieję, że wdzięki pani Margot zostaną docenione przez współsędziów” – może bezkarnie pisać biegły sądowy i komentator TVP. „Lewicowy ekstremizm atakuje polską wspólnotę, nie tylko ani kroku w tył, ale czas na ofensywę” – pokrzykuje publicznie zastępca wicepremiera Sasina. Skrajna prawica z nazistowskim sercem wygrywa 1 sierpnia na ulicach Warszawy...

Gdyby to był margines, moglibyśmy uznać, że w normalnym świecie skrajności zawsze będą i trzeba z tym żyć. Ale mówimy o sytuacji, w której to rozsądek musi znaleźć swoją przestrzeń. Jak nigdy jesteśmy w tej dupie Kisielskiego, z której kazał nam uciekać, a nie się w niej urządzać.

Na bogato

GUS po raz kolejny opublikował ranking najbogatszych gmin w Polsce. W pierwszej dwudziestce jest aż 12 gmin wiejskich. Pozycji w rankingu nie zawdzięczają jednak rolnictwu. Te typowo wiejskie gminy zamykają listę od końca.

Najbogatszą gminą w Polsce jest **Kleszczów**. Najbogatszą, licząc dochód na głowę mieszkańca. Kleszczów ma ich niewielu: 5666. Za to dochód na każdego z nich imponujący – ponad 44 tys. zł, czyli niemal cztery razy większy niż w Warszawie. Pozycję w rankingu Kleszczów zawdzięcza wpływom z kopalni i elektrociepłowni Bełchatów. Podobnie jak czwarta w rankingu gmina Rzaśnia. – *Można mówić, że te i podobne gminy to „polskie emiraty”. Żyją z kopalni i, jak widać, mają się dobrze, a wiejskie są już tylko z nazwy* – mówi Paweł Śliwowski z Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

Kolejną przepustką do bogactwa dla małych gmin jest turystyka. W pierwszej trójce najbogatszych aż dwie – Krynica Morska i Rewal – swoje bogactwo zawdzięczają właśnie temu. Dobrze żyje się również w miejscowościach z tzw. obwarzanka, czyli otaczających duże i bogate miasta. Pod Warszawą taką gminą jest Nadarzyn (16. pozycja w rankingu), pod Poznaniem – Tarnowo Podgórne (18. na liście). W Tarnowie Podgórnym działa 5 tys. firm. – *Typowo wiejskie gminy z bogactwem nie mają już wiele wspólnego* – dodaje



Paweł Śliwowski. Z danych wynika, że mają wysoki procent mieszkańców zagrożonych ubóstwem na tle innych państw UE. Jednocześnie sytuacja ekonomiczna mieszkańców polskiej wsi w ciągu ostatnich lat wyraźnie się poprawiła. – *Standard życia na wsi i w mieście się wyrównuje, co zresztą widać gołym okiem po zabudowie. Ogromny udział miał w tym transfer środków z Unii* – dodaje Śliwowski. Tymczasem polska wieś głosuje na partie eurosceptyczne. Zdaniem specjalistów jednym z kluczy do wyjaśnienia tego fenomenu może być poziom ucyfrowienia. 63 proc. mieszkańców polskich miast deklaruje, że posiada podstawowe albo ponadpodstawowe kompetencje cyfrowe. Na wsi to poniżej 50 proc. (JULL)

Mińsk, 9 sierpnia 2020 r.



Bunt białych wstążek

Białorusini są zagniewani. Ale przeciwko kolejnym sfałszowanym wyborom protestują z wyrachowaniem.

ŚLAWOMIR SIERAKOWSKI Z MIŃSKA

Bilans wyborów prezydenckich w Białorusi to wielotysięczne protesty w dziesiątkach miejscowości, 3 tys. aresztowanych w powyborczą noc, brutalne starcia ze służbami mundurowymi i (stan na poniedziałek) co najmniej jedna ofiara śmiertelna. Według oficjalnych wyników ponownie wygrał Aleksandr Łukaszenka z wynikiem w granicach 80 proc., a Swiatłana Cichanouska, kandydatka zjednoczonej opozycji, otrzymała niespełna 10 proc. głosów.

Opozycja odrzuciła te rezultaty jako wynik fałszerstwa. I przyjęła proste zasady protestu: ma być bezwzględnie pokojowy, długotrwały i samoograniczający się w sensie politycznym. Zwolenników Cichanouskiej łączą bowiem konkretne cele: wolne wybory, koniec represji i przywrócenie demokratycznej konstytucji. Tak czytelne postawienie sprawy motywuje ludzi do wychodzenia na ulice.

Wobec kontrolowania mediów oficjalnych powstał drugi medialny obieg. Jego przekaz płynie przez niezależne portale internetowe, kanałami na YouTube i w popularnej aplikacji Telegram, dociera już do ogromnej części społeczeństwa. Media drugiego obiegu uważane są za wiarygodne, ufa się im np. w kwestii dotyczących dynamiki pandemii. Z tej perspektywy reżim Łukaszenki mentalnie wciąż tkwi w latach 80. lub 90. – wyłącza telefony i odcina internet. Są na to sposoby: serwery proxy, coś w rodzaju sieci wewnętrznego, zaszyfrowanego internetu, stworzonego przez połączenie komputerów kilkudziesięciu tysięcy osób – te narzędzia jednak nie zawsze działają. Dużą rolę odgrywa diaspora białoruska, dziennikarze i blogerzy przebywający za granicą, zbierający informacje i przekazujący je mediom w swoich krajach. Dzięki temu, choć na miejscu jest mało zachodnich dziennikarzy, blokada informacyjna nie jest skuteczna.

Mimo powszechnej świadomości fałszerstw Białorusini postanowili zachowywać się tak, jakby uczestniczyli w uczciwym akcie wyborczym. Chodziło o to, aby zaprezentować, jak powinny wyglądać wolne i uczciwe wybory. Dać władzy odczuć, że patrzą jej na ręce.

Dla protestujących przygotowano instrukcję działania: w niedzielę o godz. 18 zaczynamy gromadzić się pod punktami wyborczymi. O godz. 20 żądamy ogłoszenia frekwencji wyborczej. Co istotne, do lokali wyborczych prawie nie wpuszczano niezależnych obserwatorów – zazwyczaj pod pretekstem pandemii maksymalną liczbę

osób w budynku ograniczano do pięciu. Informowano, że takie osoby się już zgłosiły, limit się wyczerpał. W tej sytuacji obserwatorzy siadali na zewnątrz. Nie mogli wprawdzie pytać ludzi, na kogo głosowali, ale mogli liczyć osoby noszące białe wstążeczki, jeden z symboli opozycji.

W Białorusi pękła bariera strachu, poglądy zaczęto wyrażać wprost. Dotyczy to również mniejszych miast i wsi. Obserwacje z rozmów z ich mieszkańcami pokrywają się z przewidywaniami niezależnych ośrodków: około trzech czwartych obywateli popiera opozycję.

W całym kraju przy wielu punktach wyborczych niezależni obserwatorzy siedzieli już od wtorku, by wywierać presję podczas przedterminowego głosowania, bardzo podatnego na fałszerstwa. Zaraz po zakończeniu głosowania rozpoczęły się protesty. Około godz. 22 wszyscy mieli przejść z punktów wyborczych do kolejnych wyznaczonych miejsc – gdyby jedno było zamknięte czy zablokowane. Najczęściej instrukcja nakazywała gromadzić się na największych placach. W Mińsku był to plac Zwycięstwa. Gdyby nie można było się tam dostać, ludzie mieli spotkać się na prospekcie Niepodległości.

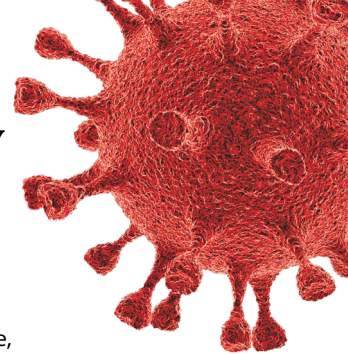
Protestujący faktycznie spotkali się na placu Zwycięstwa, nadchodzili sukcesywnie z różnych kierunków. Słychać było mnóstwo klaksonów i wszędzie rozbrzmiewał utwór Wiktora Coja z czasów pierestrojki – „Peremen”. Skandowano „Wszyscy razem!”, dodawano sobie odwagi. Szybko pojawiły się też siły specjalne MSW – obecne w sposób, który miał zrobić wrażenie. Wjechała kolumna kilkudziesięciu wozów opancerzonych i zamknęła kluczowe skrzyżowanie.

Co ważne, protestujący starali się pokazywać przychylne nastawienie do milicjantów, okazywać im życzliwość – często było słychać „milicja z narodem”. Wszystko przy założeniu, że funkcjonariusze wcale nie są tożsami z reżimem Łukaszenki. W pewnym momencie z kolumny pojazdów wyszło kilkuset, może nawet kilka tysięcy milicjantów. Walili pałami w tarcze, rozrzucaли granaty hukowe i rozblyskowe, co miało przestraszyć ludzi. Działo to umiarkowanie skutecznie, bo i dystans wynosił co najmniej kilkadziesiąt metrów. Protestujący nie cofali się łatwo i zachowywali się pokojowo. Uważano na ewentualnych prowokatorów; może raz ktoś rzucił plastikową butelką.

Milicjanci zajmowali plac kawałek po kawałku, ale raczej unikając konfrontacji. Dopiero pod koniec zaczęli gonić cofających się ludzi – złapanych pałowali. Ostatnia faza dramatu rozgrywała się już poza placem Zwycięstwa. Demonstranci byli wciąż skupieni w sporych grupach, ale rozrzucony po mieście, tam też doszło do ostrych starć.

Instrukcja opozycji podawała plan na każdy kolejny dzień: ludzie mają się spotykać o godz. 19 na placach. Protesty mają być pokojowe. I trwać do skutku.

COVID-19, TYDZIEŃ TRZYDZIESTY SIÓDMY



PANDEMIA SIĘ ROZWIJA: LICZBA PRZYPADKÓW KORONAWIRUSA W 198 PAŃSTWACH ZBLIŻA SIĘ DO 20 MLN, w ciągu tygodnia przybyło 2 mln, a liczba ofiar przekroczyła 732 tys. (według Johns Hopkins University, w poniedziałek 10 sierpnia). Ponad połowa nowych zakażeń przypada na Stany Zjednoczone, Brazylię i Indie. W USA zanotowano 5 mln przypadków i 163 tys. ofiar śmiertelnych. Według prezydenta Trumpa koronawirus „jak przyszedł, tak odejdzie”, zdaniem amerykańskich ekspertów pozostanie przynajmniej do końca 2021 r., a zgodnie z prognozą University of Washington do końca listopada liczba przypadków śmiertelnych sięgnie 300 tys.

Najsilniejsze ognisko koronawirusa znajduje się ciągle w Ameryce Łacińskiej – ponad 5,5 mln infekcji – głównie w Brazylii, Meksyku, Peru, Chile i Kolumbii. W Brazylii liczba nowych przypadków przekroczyła 3 mln, jest ponad 100 tys. ofiar śmiertelnych. Według lokalnych analiz prawdziwe dane mogą być nawet sześciokrotnie większe. Zmarł przewodniczący Senatu Davi Alcolumbre i Aritana Yawalapati, jeden z liderów rdzennej ludności, który wcześniej alarmował w sprawie fatalnej sytuacji sanitarnej w Amazonii. Indie – azjatyckie epicentrum – przekroczyły próg 2 mln chorych, codziennie przybywa

65 tys. nowych, choć i te dane uważane są za mocno zaniżone. Dwudniowy strajk ogłosiło 3,5 mln pracowników medycznych pracujących z chorymi na covid w terenie (zarabiają 1000 rupii – ok. 50 zł – miesięcznie, domagają się 21 tys.). W Rosji, czwartej pod względem liczby przypadków, jest ich ponad 885 tys. Dane o 15 tys. ofiar są powszechnie podważane. Narasta kryzys w Afryce, szczególnie w RPA, na którą przypada ponad połowa przypadków – już 560 tys.

W Europie prawie wszędzie zwiększyła się skala infekcji: odnotowuje się 28 tys. nowych przypadków dziennie. Najwięcej w Hiszpanii, Francji, Niemczech, Danii, Belgii, Austrii, Rumunii. Sprzyja upalna pogoda i wakacyjne rozluźnienie zasad bezpieczeństwa. Niemcy wprowadzili nakaz testów dla wszystkich powracających, Wielka Brytania objęła kwarantanną powracających z Hiszpanii, Belgii i Luksemburga. Na zachętę Wyspy Kanaryjskie zapewnią wszystkim turystom ubezpieczenie od skutków covid, jeśli zachorują podczas wakacyjnego pobytu. Gwarantują pokrycie kosztów leczenia, ewentualnej kwarantanny i powrotu do domu.

Zegar Tika

Technologiczno-handlowa wojna amerykańsko-chińska dosięgnęła nastolatków. Tym razem spór toczy się wokół popularnej wśród młodych chińskiej aplikacji TikTok, która pozwala na wymianianie się krótkimi filmikami i ma już globalnie ponad miliard użytkowników. Donald Trump twierdzi, że to kolejny podstęp chińskich komunistów, którzy dzięki tej aplikacji gromadzą wrażliwe dane o Amerykanach i wykorzystują je, aby wpływać na amerykańską politykę. Dlatego prezydent USA dał amerykańskim firmom czas do 15 września na zamknięcie wszystkich biznesów z ByteDance, właścicielem TikToka (podobny los z podobnych powodów ma też spotkać chińskiego właściciela komunikatora WeChat).

Jedynym sposobem na utrzymanie aplikacji w USA ma być teraz zakup jej amerykańskiego oddziału przez amerykańską firmę. Pierwszy – z nieoficjalnym poparciem Waszyngtonu – zgłosił się Microsoft, w weekend do grona zainteresowanych dołączył Twitter. Wszystko może się jednak rozbić o niespotykany haracz, jakiego niedwuznacznie oczekuje Trump – prezydent zapowiedział, że na tej wymuszonej przez rząd transakcji sam rząd musi też zarobić. Spór stał się zatem na tyle zawiły, że nie sposób go wytłumaczyć w kilkunastosekundowym nagraniu wideo przez TikToka.



Wina wina

Kolejny transport francuskiego wina rusza do destylarni.

Dla francuskich winiarzy to ponury żart historii: nadmiar wina, którego z powodu pandemii nie udało się zagospodarować, pójdzie na destylat i skończy jako przydatny w czasach zarazy żel do dezynfekcji rąk. W zeszłym roku zbiorom nie sprzyjała susza, w tym – nałożyło się szereg nieszczęść. Lockdown, zamknięte bary i restauracje, odwołane imprezy i ogólnie ograniczona konsumpcja kosztowały branżę przynajmniej 1,5 mld euro strat. Trump obłożył francuskie wina 25-proc. karnym podatkiem (a to był eksportowy rynek nr 1), spuścili z tonu zakochani bez pamięci w winie Chińczycy (zwłaszcza w drogich butelkach), załamała się też wysyłka do Hongkongu i wielu innych miejsc.

Za miesiąc rusza winobranie i zapasów trzeba się było pilnie pozbyć, głównie drogą „kryzysowej destylacji” 2 mln hektolitrów wina na bioetanol i spirytus. Producenci dostaną mniej niż euro za litr, ale dobre i to. Pójdzie na to 246 mln euro. Pożegnania z winem, całkiem przecież przyzwoitym, które odjeżdża cysternami, media relacjonują jako rozstanie z bliskimi, niemal członkami rodziny; są łzy i zaciśnięte usta. Branża stała się poniekąd ofiarą własnego sukcesu; unijne środki szły nieprzerwanie na doskonalenie produkcji, w corocznym pojedynku z Włochami o palmę pierwszeństwa oba kraje ocierały się o niebotyczne 45 mln hl. Od 10 lat wszystko w branży szykowało w górę. Aż przyszedł koronawirus.



Plakat z 1920 r.
autorstwa Władysława Skoczylasa.

Jak zatrzymaliśmy rewolucję

Wojna polsko-bolszewicka 1920 r.: fakty i mity.

TOMASZ NAŁĘCZ

W

ojna polsko-bolszewicka, trwająca od lutego 1919 r. do marca 1921 r., potocznie nazywana wojną 1920 r., należy do najważniejszych wydarzeń w XX-wiecznych dziejach Polski. Znaczenie zwycięstwa odniesionego nad sowiecką Rosją trudno przecenić. Ocaliło ono polską państwowość i tożsamość narodową. Polska, włączona jako republika radziecka do Rosji, doświadczyła by wszystkich katastrof, jakie spadły na narody rządzone przez bolszewików. Więcej nawet, sowiecki terror dotknąłby Polaków ze szczególnym okrucieństwem, bo przecież nie ulega wątpliwości, że nad Wisłą opór przeciwko sowietyzacji byłby największy. Pokonanie bolszewików pozwoliło uniknąć tej tragedii. Dzięki

zwycięstwu, w tej skali pierwszymu od wiktorii wiedeńskiej z 1683 r., Polacy uwierzyli we własne siły. Przekreślili tradycję klęski przyniatającej społeczeństwo w dobie zaborów.

Pokonanie bolszewików zaważyło nie tylko na losach Polski, ale i Europy. Unicestwiło sowieckie plany eksportu rewolucji na Zachód, w pierwszej kolejności przekreślając szanse na skomunizowanie Niemiec, w których kipiało od jesieni 1918 r. Odepchnięcie bolszewików od centralnej i zachodniej Europy ustabilizowało sytuację na kontynencie. Kończący wojnę polsko-bolszewicką traktat ryski z 18 marca 1921 r. stał się ważnym dopełnieniem ładu wersalskiego, ustanowionego na kończącej I wojnę światową konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r.

Jak każde doniosłe wydarzenie historyczne, wojna polsko-bolszewicka obrosła w wiele kontrowersji i sporów.

Zdominowały one świat polityki, bo jeśli chodzi o profesjonalne badania historyków, to zwłaszcza w ostatnim trzydziestoleciu przyniosły one ogrom ustaleń merytorycznych, odnoszących się do wszystkich aspektów tego konfliktu. Dzisiaj śmiało można stwierdzić, że nie ma już istotnego dla tej wojny zagadnienia, które nie byłoby wystarczająco opracowane przez historyków. Ostatnią tajemnicę, skrywaną przez dziesięciolecia, a dotyczącą roli polskiego radiowywiadu, odsłonił i opisał Grzegorz Nowik w dwóch monografiach wydanych w latach 2004–10, łącznie liczących blisko dwa i pół tysiąca stron. Dzięki temu fascynującemu opracowaniu wiemy, jak wielki udział w osiągnięciu zwycięstwa mieli polscy specjaliści skutecznie łamiący szyfry, którymi posługiwały się sztaby sowieckie. Naczelnny Wódz Józef Piłsudski przypominał w tej wojnie gracza mającego istotny wkład w karty przeciwnika, co zwłaszcza w sierpniu i wrześniu 1920 r. znakomicie ułatwiło rozegranie na polską korzyść rozstrzygających starć tej wojny.

Jest jednak rzeczą znaną, że cała ta bardzo rozległa wiedza historyczna w niewielkim tylko stopniu wpłynęła na obniżenie temperatury sporów toczonych w świecie polityki. Na arenie międzynarodowej najgorętszy z nich dotyczy genezy i charakteru tej wojny. Dla Rosjan, zwłaszcza dla ekipy prezydenta Putina, agresorem w latach 1919–20 byli Polacy, od stuleci zdradzający Słowiańszczyznę i będący forpocztą agresywnej polityki Zachodu wobec Rosji. Zaś dla Polaków, szczególnie dla polityków PiS, agresorem byli Rosjanie od wieków dążący do podboju Polski, a w tym szczególnym przypadku dodatkowo motywowani komunistyczną ideologią, zakładającą przeniesienie rewolucji bolszewickiej na zachód Europy.

Historycy ujmują tę kwestię w o wiele bardziej wyważony sposób. W świetle ich ustaleń obie strony stawały przed sobą cele możliwe do zrealizowania tylko po militarnym rozgromieniu przeciwnika. Sowiecka Rosja rzeczywiście dążyła do przeniesienia rewolucji na Zachód. Taka strategia oznaczała wojnę z odradzającą się Polską i stanowiła śmiertelne zagrożenie dla jej niepodległości, wcześniej uroczyście obiecywanej przez bolszewików. W konfrontacji z obowiązującą na Kremlu, a wywodzącą się jeszcze od Karola Marksa, teorią o powszechnym charakterze rewolucji obywatelskiej uszanowania praw Polaków do samostanowienia okazywała się nic nieznaczącym frazesem sowieckiej propagandy. Liczył się tylko jeden cel: podbój Polski i przeniesienie rewolucji na Zachód.

Z agresywnego charakteru polityki sowieckiej dobrze zdawał sobie sprawę Józef Piłsudski, kierujący odbudowywanym państwem polskim jako Naczelnik Państwa i naczelnny wódz. Jednak i on miał swój wielki plan, którego nie mógł zrealizować bez powalenia Rosji na kolana. Chciał wykorzystać ogromne wycieńczenie Rosji przegraną wojną światową, rewolucją oraz krwawą wojną domową do pozbawienia jej mocarstwowego statusu. Planował to osiągnąć, wspierając niepodległościowe

dążenia narodów uciskanych przez carat. Wierzył, że w walce o własne państwa ludy te sprzymierzą się z Polską, bo tylko tak zagwarantują sobie bezpieczeństwo. Marzyła mu się zjednoczona z suwerennych państw wspólnota wschodnioeuropejska, w której poza Polską widział niepodległą Ukrainę i państwo litewsko-białorusko-polskie, kontynuujące tradycje Wielkiego Księstwa Litewskiego. W dalej idących planach sięgał od Finlandii na północy, poprzez Estonię i Łotwę, aż po państwa Kaukazu na południu. Polsce dzięki jej możliwościom ludnościowym, ekonomicznym, kulturalnym i militarnym miała przypaść rola hegemonu tego związku. Miał on odepchnąć Rosję od Europy i zmusić do kontentowania się zdobyczami w Azji. To zaś oznaczało wojnę na śmierć i życie z każdą Rosją, także bolszewicką, bo takie pomniejszenie roli mogła zaakceptować tylko Rosja rzucona na kolana.

Tak więc, wbrew temu co twierdzą politycy, chciały tej wojny obydwie strony, sowiecka i polska, wiążąc z nią realizację najżywotniejszych swoich interesów. Historyk, jeśli nie chce zamienić się w propagandzistę, nie może tu przyznać pełnej racji żadnemu z politycznych przeciwników.

Zupełnie inaczej jest z bardzo głośną od 30 lat kwestią rzekomego mordu dokonanego przez Polaków na sowieckich jeńcach wojennych. Rosjanie od 1990 r. oskarżają Polaków o wymordowanie nawet kilkudziesięciu tysięcy jeńców. Zarzuty nie znajdują jednak potwierdzenia w badaniach historyków.

Z badań tych jasno wynika, że w latach 1919–20 w polskiej niewoli znalazło się około 110 tys. jeńców sowieckich. Nie ma żadnych świadectw, by jakkolwiek część z nich poddano eksterminacji. Owszem, panowała w tej grupie wysoka śmiertelność. Zdaniem polskich badaczy w obozach jenieckich zmarło około 16–17 tys. osób. Historycy rosyjscy szacują liczbę zmarłych nieznacznie wyżej – na 18–20 tys. Badania źródłowe dowiodły, że przyczyną zgonów były choroby i epidemie grypy, tyfusu, cholery, dyzenterii, które w wyniszczonym wojnami kraju zbierały obfite żniwo nie tylko w obozach jenieckich, ale i wśród ludności cywilnej. Nie było natomiast rozstrzeliwania jeńców w obozach, co obydwu walczącym stronom zdarzało się czynić w czasie działań frontowych.

Historycy wyjaśnili także, dlaczego kwestia rzekomego polskiego mordu dokonanego na sowieckich jeńcach wojny 1920 r. zaczęła być podnoszona dopiero od 1990 r. Oskarżenie spreparowano, by stonować tragiczną wymowę zbrodni katyńskiej, dokonanej na polskich jeńcach wojennych na polecenie Stalina w 1940 r., do której Rosjanie przyznali się właśnie w 1990 r. Co ciekawe, protektorem fałszywego oskarżenia był reformatorzy w wielu innych kwestiach, ostatni przywódca ZSRR Michaił Gorbaczow, tu zapisujący czarną kartę sowieckiej propagandy. Wytyczonymi przez niego kolejnymi podażyły kolejne ekipy rządzące, ze szczególną zaś gorliwością ekipa Putina, bardzo chętnie posługującego się odpowiednio spreparowaną argumentacją historyczną.

Rozziew pomiędzy propagandą i wiedzą historyczną, bardzo widoczny w relacjach polsko-rosyjskich, można też zaobserwować, w mniejszym co prawda stopniu, na polskim podwórku. Przez dziesięciolecia na plan pierwszy wybijała się tu kwestia autorstwa ofensywy, rozstrzygającej o losach wojny, podjętej w sierpniu 1920 r. znad Wieprza. Prawicowi politycy i publicyści czynili wszystko, by odmówić tej zasługi dowodzącemu armią marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, oskarżanemu przez nich o skrajną niekompetencję i nieudolność.

Już 14 sierpnia 1920 r. wielki przeciwnik Piłsudskiego – Stanisław Stroński – zamieścił na łamach prawicowego dziennika „Rzeczpospolita” artykuł zatytułowany „O cud Wisły”, wprost stwierdzający, że przy tak fatalnym wodzu naczelnym tylko ►